

Filozoficzny blog Marka Witkowskiego

zapiski filozofującego rowerzysty i miłośnika podcastów Bez ipoda nie da się filozofować

Tortury a filozofia (od młodego Marksa do starego Różańskiego)

Porzuciłem ten blog. Parę miesięcy wyżywałem się polemicznie na Facebooku, ale teraz myślę, że chciałbym tu wrócić z pewnymi podsumowaniami.

Uważam, że do filozofów należy skierować pewien apel. To, że świat nie traktuje was poważnie, nie znaczy, że nie potraficie całkiem sporo narozrabiać. Potem się tłumaczycie. Że Platonowi nie chodziło o faszyzm, że Epikur nie głosił cynicznego hedonizmu, że Nietzsche to nie prekursor rządów rasy panów, a już na pewno nie Hitlera, że Marksowi nie chodziło u gułagi. Uważajcie, co mówicie i piszecie, i co przekazujecie studentom, bo nie macie żadnej kontroli nad tym, co oni z tym robią.

Późną jesienią i zimą 2014 przetoczyła się przez Facebook dyskusja na temat dopuszczalności stosowania tortur. Opublikowany został bowiem raport, z którego wynikało, że na terenie Polski torturowano więźniów podejrzanych o członkostwo organizacji terrorystycznych. Zaskoczyło mnie, ile osób skłonnych było zaakceptować dopuszczalność tortur. Chodziło przy tym o ludzi wykształconych, takich co książki czytają, i którzy skądinąd przy innych okazjach wyrażali swoje dość liberalne przekonania.

W swojej argumentacji powoływali się na argumenty wysunięte przez filozofów. Najśłynniejszy z nich to tzw. Argument

tykającej bomby.

http://en.wikipedia.org/wiki/Ticking_time_bomb_scenario

Przypuśćmy, że złapaliśmy osobę, która ma wiedzę o mającym zaraz nastąpić ataku terrorystycznym, który zabije wielu ludzi. Ta osoba znajduje się obecnie w rękach władz i ujawni informację potrzebną do oddalenia ataku tylko po torturach. Czy ta osoba powinna być torturowana? Nie odpowiem tu na to, bo chodzi mi, o co innego.

Zgodnie z tym, co się zorientowałem, studenci dyskutują takie dylematy na przykład na seminariach na kierunkach prawniczych. Na tym etapie zarówno prowadzący seminarium, jak i studenci, myślą, że jest to spór trochę akademicki – intelektualny dylemat, czy można sobie wyobrazić jakieś wyjątkowe okoliczności, w jakich tortury byłyby dopuszczalne. Ponieważ mieszkamy w Polsce, często zamiast zachodnich autorów, Philippy Foot i Alana Derschowitza, omawia się poglądy Iji Lazari-Pawłowskiej.

Jednakże potem studenci kończą magisteria, robią doktoraty i zostają urzędnikami państwowymi. Ze studiów zostaje im coraz mniej w głowach. Nie pamiętają, że zgodzili się na seminariach najwyżej na to, że tortury można stosować w bardzo wyjątkowych warunkach, które praktycznie rzadko w życiu są spełnione. Istnieje natomiast pokusa, by stosować tortury jaką normalną procedurę operacyjną.

Ci, co uczycie filozofii, uważajcie, co mówicie. Wasi słuchacze niekoniecznie mają tak głębokie umysły jak wy. Wasze poglądy zostaną uproszczone. Wy uczycie: „są warunki, w których tortury można zastosować”. Oni rozumieją tylko: „wolno torturować”. Niby to samo, ale niekoniecznie.

Schopenhauer a uprzywilejowany

dostęp do mojego ja

Od czasu do czasu przypominam główną myśl mojego blogu. Jest to prawda, którą się narzuca swoją oczywistością, choć nie do końca daje się pogodzić ze światem nauk przyrodniczych (z drugiej strony nie musi implikować światopoglądu religijnego). Jest to przekonanie, że do naszej świadomości mamy intuicyjny, bezpośredni dostęp, niewymagający żadnych perceptorów, zagładania do mózgu, itp.

Filozofia od wieków próbuje tę prawdę ująć w różne metafory. I musi tak robić, bo o bezpośrednim dostępie do naszej świadomości nie można zbyt wiele dosłownego powiedzieć poza tym, co już powiedziałem wyżej. Może jeszcze tylko dodam przykład, którym zawsze się posługuję, że po to, żeby stwierdzić, czy ząb mnie boli, nie muszę badać mojego stanu uzębienia, choć oczywiście powinienem.

Dzisiaj na poparcie tezy o bezpośrednim dostępie do mojej świadomości, przywołuję Schopenhauera, filozofa posępnego, ale na jakiś sposób szanowanego przez wszystkich. Polemizował on z Kantem. Kant uważał, że prawdziwego świata (rzeczy samej w sobie) nie poznamy nigdy. Ograniczeni jesteśmy tylko do tego, co nam zmysły podają w formie wrażeń. Ale Schopenhauer uważał, że Kant dokonał pewnego przeoczenia. I dalej już może przytoczmy streszczenie Tatarkiewicza, chociaż to już na pewno nie jest bezpośrednia znajomość filozofii Schopenhauera (dostęp do Schopenhauerowskiej rzeczy samej w sobie):

„Na drodze poznania obiektywnego, biorąc za punkt wyjścia wyobrażenie, nigdy poza wyobrażenia nie wyjdziemy, zawsze zostaniemy przy zjawiskach, przy zewnętrznej stronic rzeczy, i nie wnikniemy nigdy do ich wnętrza. Jest to prawda, którą już Kant poznał; ale nie zauważył prawdy drugiej, że my sami jesteśmy nie tylko poznającymi podmiotami, ale także przedmiotami do poznania, sami jesteśmy rzeczami w sobie. I przez to do istoty rzeczy, do której nie możemy przeniknąć z

zewnątrz, możemy dojść od wewnątrz; rzecz sama w sobie nie może być poznana obiektywnie, ale może sama o sobie uzyskać samowiedzę”.

Schopenhauer to czy Tatarkiewicz? Wszystko jedno. Pięknie napisane! I zgadza się z tym, co myślę. Dla mnie ani freudyzm ani filozofia analityczna ani neuronauka nie zburzyły subiektywnego (w jakiś sposób kartezjańskiego) pojęcia jaźni. Poza tym jestem ateistą, ekstremistą i nawet materialistą (nie wierzę w duszę), uważam że nasza świadomość jaźni jest omylna i niewiele można o niej powiedzieć. Ale jest to moja jaźń!

Jestem niezreformowanym dualistą

Coraz rzadziej piszę na tym blogu. Częściej bywam na Facebooku, gdzie zapisałem się do zamkniętej grupy filozoficznej, grupującej podobnych jak niedzielnych filozofów. Plusem jest to, że każda wypowiedź będzie natychmiast skomentowana, natomiast minusem to, że jest zamknięta i żadnej ciekawej dyskusji nie mogę żadnej osobie postronnej pokazać.

Ale jedną wypowiedź muszę koniecznie przytoczyć. Czynię to za zgodą jej autorki, Katarzyny Mitros. Jej zdaniem nie istnieje coś takiego jak kolor zielony sam sobie. To stanowisko mogę nawet podzielać. Ale poniższy opis jest mi potrzebny do czego innego. Nie mam akurat pod ręką tak zwięzłego i komunikatywnie napisanego opisu widzenia jako procesu neurologicznego. Autorka zdaje się sugerować, że w przeżyciu zwanym postrzeganiem nie ma nic więcej, niż proces mózgowy (choć kropki nad „i” moim zdaniem nie stawia). Czytajmy:

„Podobnie jak nie istnieje dobro samo w sobie tak samo nie istnieje sam w sobie kolor zielony. Światło określonej długości pada na siatkówkę, zachodzą w niej zmiany chemiczne, które po przetworzeniu na impulsy elektryczne płyną sobie grzecznie do mózgu. Analizą na poziomie siatkówki u człowieka zajmują się czopki. Mamy ich na ogół 3 rodzaje, chociaż znane

są przypadki czterech.

W mózgu nie ma żadnego ekranu, na którym by się wyświetlały obrazy. Tam są tylko komórki nerwowe połączone za pomocą wypustek w sieci i płynący po nich prąd elektryczny. Zielony nie jest cechą przedmiotu, ale wrażeniem powstającym w naszym mózgu. Jeśli czopki działają nieprawidłowo człowiek może nie odróżniać np. barwy czerwonej, żółtej i zielonej od pozostałych. Wszystkie te wrażenia jawią się jako takie same.

Zwierzęta mogą mieć np. 2, 3, 4, 5 czy więcej rodzajów czopków. Stąd wrażenia powstające w ich mózgach będą inne. Tak więc wrażenie koloru zależy zarówno od długości fali światła padającego na siatkówkę, jak również budowy oka i mózgu. Wrażenia w oderwaniu od tych czynników nie istnieje. W żadnych zaświatach (zakładając, że istnieją) nie mieszka sobie „zielony”.

Opis ten przypominał mi zajęcia chyba z filozofii Leibniza. Prowadzący, tym razem, z pewną ironią, zaczął porównywać nasze widzenie do kamery. Oto wiązka światła przechodzi przez soczewkę (jak przez oko), zamienia się w sygnał elektryczny, który zostaje przekazany do procesora (jak do mózgu). „No i co?” – zapytał wyraźnie już rozbawiony prowadzący zajęcia. „Powiedzielibyście, że ta kamera widzi? Tak jak człowiek widzi? Tak jak zwierzę widzi?”.

Bo ja mimo wszystko jestem dualistą. Mógłbym sobie wyobrazić świat, w którym wszystko, co zostało opisane powyżej, przebiegałoby zgodnie z powyższym opisem. A mimo to, ja bym nie bym nie przeżywał tych procesów, byłbym kimś z zewnątrz. A tak się akurat składa, że jeden z tych podmiotów widzących jest mną. To ja widzę, to ja czuję. Co więcej, czuję i widzę z pewną jakością, która nie wynika z opisu naukowego. Chociaż konkretny odcień zieleni jest skorelowany z pewną długością fali, to nie jest z nią tożsamy, bo przecież nie konkretną długość fali widzę, tylko najzieleńszą zielen. Dlaczego miałbym zaprzeczać, że widzę coś zielonego, kiedy widzę.

Mógłby ewentualnie się zgodzić, że „w rzeczywistości” widzę fale (śmiesznie by to brzmiało). Ale nie byłaby to moja rzeczywistość. Mam wrażenie, że kiedyś fenomenologia zachęcała do myślenia w tym kierunku.

Kiedy piszę takie rzeczy, to nigdy nie jestem do końca zadowolony. Trudno werbalizować intuicje dualistyczne i zachować dyscyplinę słowną. Ale jest jeden argument za dualizmem, który bardzo prosto sformułować, a jest zupełnie nieodparty. Jest to argument uprzywilejowanego dostępu do moich przeżyć. O tym na przykład, że widzę zielony przedmiot, wiem bezpośrednio. Nie muszę zaglądać do swojego mózgu, sprawdzać, jak zachowują się moje „czopki”. O tym wiem ja (i co ważne: tylko ja). Jak dotąd żadna nauka nie potrafi wyjaśnić tego uprzywilejowanego dostępu.

Ale piękno filozofii polega na tym, że różne stanowiska są w niej uprawnione. Mnie samego czasami przekonują argumenty, że umysł do mózgu. Jakieś wątpliwości jednak pozostają. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że to pozostałość religijnego wychowania.

Jeżeli potrzebujesz konsultacji przy pisaniu pracy licencjackiej lub magisterskiej, to polecamy serwis [pisanie prac](#) - pomoc w pisaniu prac w granicach dozwolonych prawem